


Nr. 46. Poznań, dnia 16 Listopada 1878. Rok I.

# DRUCHY.

## Powieść Ukraińska.

Napisał

BOHDAN.

~~~~

### I.

Szlakiem od Humania ku południowi szedł człowiek — na nim szynel szary moskiewski, przy boku szabla moskiewska, i takaż czapka na ogolonéj „po ukazu" głowie.. tylko postać, i twarz nie moskiewska, i dusza z oczu patrzy wolna jak na przekor szynelowi..

Średni wzrostem, cienki, i gibki jak wijun.. twarz u niego śniada, i nos orli, oczy siwe, żywe, ocienione ciemną brwią, takież włosy nad szerokiem czołem, nad ustami wąs światły — a na całem licu szczerota, i tęskność kozacza.

Szedł, a raczej biegł szybko, rozglądając się po owianéj półmrokiem świtu rannego okolicy..

Z prawéj szlaku strony rysowały się zdala skaliste brzegi Bohu, kilka rozrzuconych bajraków, jar ciemny, nad którym dwa czy trzy osiadły chutory.. płaszczyzny ubarwione ostrowami i wyspami oczeretu.. kilka krzaków dereniu i kurhan, znać czumacki, bo nad nim krzyż i kalina.

Była to uroczysta chwila przedświtu, kiedy wszystko się budzi, i wita blizki wschód słońca.. tysiące ptastwa napełniało powietrze wrzaskiem, śpiewem, świstem — słowik skryty na kalinie kończył nocne pienia.. czajki jęczały jak w płaczu, stada kaczek co moment przeciągały nad szlakiem zapadając z krzykiem w komysze.. Nic nie przerywało téj wrzawy, żaden odgłos ludzki, wiatr nawet poranny drzemał jeszcze w burzanach..

W całéj naturze czuć już było blizkość stepu! już coś wiało od niego.. w powietrzu przeciągał ten oddech pod którego wpływem najspokojniejszy koń nabiera ducha, a rodzimy stepowy rumak dziczeje, robi się lotny jak sokoł.. wyciąga szyję, z rozwartą chrapą wietrzy.. A człowiekowi serce bije rzeźwiéj, silniéj, pierś oddycha lekko, i szeroko.. duszę obsiada luba tęsknota — a w głowie snuje się mimowoli dumka o starem, dawnem Zaporożu!..

Idący szlakiem sołdat snać czuł ten czar — bo mimo widocznego pospiechu, od czasu do czasu stawał, i wciągał powietrze całą piersią jakby upić się niem chciał, czy nacieszyć.

Światło dzienne zwiększało się coraz, niebo sine stroiło się coraz bogaciéj złotem i purpurą. Na szlaku zjawiać się poczęły gromadki ludzi, idących do Humania.

Sołdat przed każdą uchylał czapki i pozdrawiał:

— Sława Bohu!.

— Na wiki sława!.. odpowiadano.

Pozdrowienie, i odpowiedź następowały bardzo naturalnie po sobie.. w tonie jednakże w jakim były dawane, i oddawane, zachodziła różnica.

„Sława Bohu! wymawiane było serdecznie, z duszy która się rwała do tego kozaczego ludu..

„Na wiki sława, odpowiadano tylko dla zwyczaju, głosem suchym, niechętnym, któremu towarzyszyło posępne spojrzenie, i nierzadko półgłosem rzucony dodatek:

— Moskal..

Niejedna hoża mołodyca odwróciła głowę, niejeden stary batko gniewnie szarpnął wąsa, a parobek na widok szarego szynela, zmarszczył brwi, napanoszył się postawą i rzucił drugiemu;

— Czegoż ten woron kręci się tutaj pomiędzy nami... czy czuje krew, czy padło!..

Słowa takie wymówione niby cicho, dość jednak głośno aby trafiły do wymierzonego celu, dochodziły do uszu sołdata, bo za każdym razem widoczna w nim zachodziła zmiana.. twarz mu jaśniała, serdeczny uśmiech ukazywał się na ustach, siwe oko błyszczało radością i dumą! stawał, i z lubością przyglądał się na hardego mołodca póki nie zginął mu z oczu, zmięszawszy się z jaką gromadką.
~~~~

Na dwunastéj może może werście od miasta, szlak podnosi się lekko w górę, za którą jak zwykle w płaszczystych okolicach nie widać nic, tylko niebo spuszczające się ku dołowi..

Sołdat szybko, z widocznem upragnieniem biegł pod górę.. aż stanął na jéj szczycie.

Przed nim, jak oko mogło zasięgnąć, na wschód, zachód, i południe, rozrzucił się step!.

Step!...

Sołdat stanął.. i otworzył ramiona jak do uścisku..

W tej chwili sine niebo zabarwiło się całem bogactwem złota i purpury.. miliony tęczowych promieni wytrysło.. Z srebrnosinego stepu wstało słońce.. i pierwszy podmuch stepowego wiatru dmuchnął mu w twarz.

Sołdat zdjął czapkę, gwałtownie zerwał z siebie pendent z szablą, rzucił precz.. ukląkł i trzy razy pocałował ziemię.. wstał, trzy razy przeżegnał się krzyżem świętym.. wyprostował się, otrzepnął, i okiem powiódł po stepie..

Tak szeroko, widno wskroś od kraju do kraju, tak pohulać można okiem, i dumką, że aż duszy lubo.. wiatr tak dmucha, oczeretem trzeszczy, szumie, huczy.. mogił tyle, że aż tęskno..

Twarz sołdata jak ten step, i tęskna, i dzika!. długo wodził okiem po tych mogiłach.. Zadumał się.. pierś nabrzmiała mu westchnieniem, które przeszło w dumkę. Zawiódł tęsknie:

„Skriz mohyły w Ukraini,
I horkaja dola..
A w mohyłach ci syny
I świataja wola..
Po mohyłach witer hude,
Hulaje po poli..
Po mohyłach tapczuť lude
Wyhladajuť doli..
Po mohyłach Moskal kliatyj
W sołdaty zajmaje
Naszych chłopciw.. Po mohyłach
Wrażyj Lach hulaje!!..

urwał.. oko mu zabłysło — i po chwili dokończył:

„Dasť Boh kołyś prokinyť sa
W mohyłach Hetmany!..
Wstanuť.. z nymy mow to cance
Swiata wola ostane!..“

Zadumał się, obejrzał po stepie, spojrzał ku Humaniowi.. potem na swój szynel sołdacki.. i westchnął ręką z kozaczym akcentem:

— Oj Bohdane!. rzekł z żalem, — przeciągnął dłonią po czole, i poszedł w drogę.

Nad szlakiem krzyż, daléj bilina, i mogiłki od niéj sołdat rzucił szlak i puścił się stepem na wschód..

Znać to syn tego stepu, wyrosł na nim!. z taką lubością kąpie się w jego sinéj zieleni.. Snać dusza jego wykołysana z młodu tym wiatrem, z taką rozkoszą wpół dziką stawia czoło jego podmucham..

Te mogiły to stare drużki jego.. zna je, wie co która kryje.. jedne mija, to tatarskie — przy drugich zdéjmie czapkę, i żegna się trzy razy — to lasza, albo moskiewska.. przy innych stanie, zaduma, po szerokiem czole przewinie się tuman smutku; albo podniesie je dumnie, bo to kozacza.. a on hardy wnuk hetmański duma o sławie ich i śmierci. —

Wybiło się słońce wysoko na niebo i pali. Ptactwo zamilkło, i pochowało się w komysze stepowe, tylko gawrony roztaczają skrzydła w promieniach słonecznych i krzyczą..

Wśród stepu kilka bajraków szumi, a za niemi długiem pasmem szarzeje chatami, i bieleje kwitnącemi sadami sioło..

Sołdat którego krok pod promieniami słońca ociężał zdawał się, nowych sił nabierać. Już nie szedł, ale leciał, upragnienie, radość, skrzydeł mu dodały!

Już blizko!..

Nieskończoną linią wśród zielonego kraju rozsiadło się sioło — Chaty ukryte w sadach wiśniowych, tulą się jedna po drugiéj, kilka hutorów wybiegło naprzód ku stepom.. Cerkiew trzema kopułami wystrzeliła w niebo, a słońce jasnemi promieniami złoci jéj trzy krzyże. Z prawéj strony sioła kłada — wiszoce, z lewéj wśród drzew wyniosłych wspaniały panuje pałac — daléj szerokie uprawne pola.

Od sioła gwar już dolatał — szczekanie psów, ryk bydła na paszy, kurów pianie — kilku koniuchów boso, w koszulach wyrzuconych na płócienne szarawary, na lotnych koniach, z krzykiem przebiegło mimo, do stada..

Sołdat patrzył, słuchał, śmiał się, i łzy kręciły mu się w oczach..

Wszedł na wązką ściezkę, i nią już dobiegał do sioła.

Pod samem siołem para siwych wołów leniwie kroczy.. za wołami socha trzęsie się, skrzypi, stepu kawał drze!. a za sochą idzie człowiek, i tęsknie śpiewa:

„Héj woły.. woły połowyi!“

Sołdat ręką pod słońce osłonił oczy, i przyglądał mu się chwilę — i uśmiech radoenego rozrzewnienia osiadł mu na ustach..

Stanął i czekał na oracza, który dooprywał do drogi.

Był to człowiek wysoki, cienki, pochylony lat kilkudziesięciu brzemieniem, w twarzy typowo kozaczéj, oku bystrem, przenikliwem, błyszczącem z pod krzaczystéj brwi siwéj — długie wąsy i biała jak śnieg broda opadały na piersi — na nim szarawany płócienne sine, i świtka szara narzucona na soroczkę białą, na przodzie rozkrytą, z pod któréj widna pierś stara pożółkła.

Doszedł do drogi, zatrzymał woły, wyprostował się.. i starem okiem spojrzał w step.. Sołdat zbliżył się, stanął mu prosto w twarz.

— Pomahaj Bih! —

Stary spojrzał na sołdata bystro, zmarszczył brwi, w oku mu zatliła iskra..

Skinął głową:

— Daj Boże zdorowla! —

Naraz lica mu złagodniały — chwilę patrzali na siebie, stary niby poznając, sołdat z duszą w oczach.

— Didu! — zawołał głosem stłumionym od wzruszenia. Stary roztworzył ramiona.

— Synu...

Chłop ukraiński, i moskiewski sołdat rzucili się sobie w ramiona, w długim uścisku..

Kiedy się puścili, twarze obydwóch głęboko były wzruszone — tylko gdy oczy sołdata błyszczały szczęściem, czoło starego głębokiego smutku kryła chmura..

Odsunął z lekka sołdata od siebie, i z miłością wpatrywał się w jego lica.

— Jeszczeż ja ciebie zobaczył!. mówił kładąc mu rękę na głowie — jeszczeż ty mnie wrócił się taki jak poszedł.. taki ciałem, i duszą!.

Podniósł oczy w niebo.

— Sława tobi Boże.

— Didu.. didu mij! — powtarzał sołdat nie mogąc znaleźć słów do oddania uczucia. Stary lubował się nim, i szeptał pół do siebie:

— Myślałem już, że umrę, a ciebie nie zobaczę więcéj.. — jeszcze się ściskali.

Sołdat przeciągnął dłonią po czole jakby odpędzić chciał rozrzewnienie.

— Karpe! co tam w domu? Matka, Makryna? —

Na to pytanie twarz starego sposępniała, czoło ciężka pokryła chmura.

— Tymku, ty neznajesz..

Tymon zbladł, niespokojnie chwycił za rękę starego..

— Matka moję! Makryna?!

— Matkę twoją pozatorik wywieźli na mogiłki..

Sołdat stanął jak rażony piorunem.. potem ukrył twarz w dłonie.

— Maty! moja maty!. zająknął i zapłakał jak małe dziecko.

Stary nie koił go, nie cieszył — patrzał na niego posępnie, jak gdyby jeszcze nie powiedział wszystkiego.. Czekał, a gdy gwałtowny ból sołdata wylał się serdecznemi łzami, położył mu dłoń na ramieniu:

— Synu, czy ja ciebie źle uczył, czy na darmo tobie opowiadał dzieje nasze kozacze? na darmo tobie wywodził z pod mogił tych wszystkich atamanów, watażków.. tych hyżych ptaków stepowych, kozaków orłów.. i małemu stawiał przed oczy ich sławne dzieła, życie, sławną śmierć!. Małoż ja tobie naśpiewał stepowych naszych sumnych pieśni, małoż ja naopowiadał pro sij szerokiéj jak toj step woli.. i jak to ją zabierali, jak Sicz rujnowali, a nas prybarkali worohy proklati!. Małoż ty jeszcze napatrzył się z młodu własnemi oczami na ciężką, krwawą, dwa razy krwawą dolę narodu, że ci jeszcze serce nie stwardło? —

Popatrzał na niego, i dodał łagodnie:

— Czy ty nie wyrósł mi taki, jakim ja chodował ciebie.. mołodca z hardą, kozaczą duszą? Nie płacz, to nie kozacza robota! Maty w Bohu!. a ja jeszcze nie powiedział wszystkiego..

Tymon podchwycił się.

— Każy!. zawołał gwałtownie — Makryna!. czy i ta umarła?!.

Stary smutnie potrząsnął głową.

— Nie, umarła.. Skinął głową w stronę bielejącego zdala pałacu:

— Tam!.

Całe piekło wściekłości i rozpaczy zerwało się w piersi sołdata!. Zrozumiał wszystko, od razu.

— Ha, przeklęta!. krzyknął głosem ochrzypłym.

— Nie przeklinaj jéj Tymone.

— Ona, on, świat cały.. Lachy przeklęci!.

Głos mu się zaparł w piersi, twarz wykrzywiła się śmiertelną nienawiścią.

Karpa oko pod siwemi brwiami zatliło się ogniem.

— Przeklęci! wyrzekł z wolna — Co ty ją przeklinasz? — ona niewinna..

Tymon dziko się uśmiechnął:

— Niewinna!

— Niewinna — z mocą odparł stary — ja na to patrzał własnemi oczami.. Niewinna!

Popatrzał na Tymona, i dodał łagodniéj:

— Czy ty już zapomniałeś jak to tu u nas? tak niedługo bywał w świecie, trocheś lat pożył na cużyni, niewiele dostrzegłeś jak to tam ludzie żyją spokojnie, może co i szczęśliwie.. i już zapomniał!.

U nas inaczéj na Ukrainie, u nas inaczéj!.

Cały świat choćby kochał, drużyłsa!. tu człowiek nie człowiekiem!. Lach panem, Rusin pies, kozak cham.. rab pański ta moskiewski!. U nas chata, matka, brat, dziewczyna, żinka nasza, nie nasza!. Kozak w sołdaty, newistka do pana.. Tak i z tobą!

Ty w moskali.. a czorni browi mołodycy weszły w oczy wielmożnaho!.

Chodził, ta chodził, goścince słał jéj, i matce twojéj — one nie przyjmowały, nie wychodziły wcale.. Pan groził, że chatę rozwali, braci zagoni w sołdaty, a one płakały..

Potem ucichło, lato całe przeszło spokojnie, myśleli my: przeszło łycho!.

W jesieni znudziło się czekać grafowi, nocą zabrał!.. Płakała mołodyca, oczy chciała wypłakać w pałacu, graf pilnował, ani jéj zobaczyć nie było sposobu.. Matka stara prosiła, od proga nie odchodziła.. potem skarżyła ona, chodził ja po gubernii, po czynownikach.. ta darmo.. rublami wszystko zrobisz!.

Zwąchał się graf sobaka, z psami Moskalami.. Makryna we dworze krasę wypłakała, pryłuczyłaś choroba.. teraz każuť tylko dożywaje.. Matka dawno na mogiłkach.. Chata pustką stoi.. — Stary zadumał się, ręką machnął:

— Synu! twoja dola, to dola całego narodu. Lach, ta Moskal.. ten zabiera ci całą dolę, całe szczęście twoje, chciałbyś bronić — ta darmo! drugiego pęta na rękach. —

— Spojrzał tęsknie ku stepom rozległym..

— Oj czasy, czasy.. czasy zołoteje!. deż wy podiłysa?!.

Na drodze zatętniały końskie podkowy.. z tumanu kurzawy wyskoczyło dwóch jeźdzców.

Na czerkieskim koniu z myśliwska ubrany człowiek młody, o twarzy miękko pięknéj, i czarnem przygasłem oku.. Za nim kozak w dworskiéj barwie. —

Tymon zbladł śmiertelnie, i skoczył:

— Ha!. psie!..

Stary schwycił go za rękę.

Grafa oczy spotkały się z dzikim wzrokiem sołdata.. na twarzy jego zamigotała niepewność, gniew, obawa, i wstydu trochę.. Pocisnął koniem, i minął ich w skokach..

Sołdatowi nie dobra dumka patrzała z oczu.. Karp bystro w niego się wpatrzył:

— Szczo z toho.. rzekł spokojnie — szczo z toho?! Zabijesz.. a potem Sybir.. i śmierć w śniegu..

— A na cóż mnie życie?! Zginę ja.. Niechaj on pierwéj.. Mnie katorha.. jemu śmierć!.

Stary potrząsnął głową.

— A gromadzie wieczna pohybel, i taki sam graf drugi.. Tegoż im i trzeba.. a toż to bunt w naszem siole!. przyszlą wojsko, kwaterami postawią.. Kilku młodych pójdzie w rekruty, kilku starych do turmy.. Sołdat drgnął, Karp mówił daléj:

— Słuchaj mene Tymone! Zginie on, zginiesz ty.. takich grafów nie braknie, a takich jak ty niewielu na Ukrainie!. Naszych już ginie czy mało? jeszczeż nam się własnemi mordować rękami. Hlady.. do koła, poodywyś na ten kraj nasz szeroki.. póki żyjemy my, żyją pieśni nasze.. żyje Ukraina!.

Sława nasza zasnęła na mogiłach.. pieśni nasze budzą ją jeszcze!. zabraknie nas, zmilknie pieśń.. tody szczo? tody szczo Tymone?.

Stare oko dziada jaśniało, siwa brew skupiła się na czole — wyprostował się, i patrzał daleko gdzieś.. Może tam widział jeszcze duchem przeciągające kurenie.. może w uszach brzmiało mu jeszcze kozacze:

„Hej ha! hura ha!..
Koli, siczy, riż wraha!..“

bo zamilkł, zapatrzył się, zasłuchał.. potem drgnął, i rzekł sam do siebie:

— A hdeż sława kozaćkaja?!.

I Tymon patrzał w step!. ale kiedy stary płomienił się wspomnieniami, lice młodego łagodniało, w miejsce rozpaczy głęboki smutek osiadał mu na czole..

Siadł nad drogą, popatrzał na pałac, powiódł okiem po siole, zatrzymał je na krzyżu smętarnym, i ukrył twarz w dłoniach..

— Sierota!.

Karp z niewymownym spojrzał na niego żalem:

— Synku!. rzekł z czułością..

Sołdat się zerwał.

— Didu!. ty jeden mi jeszcze został.. ostatni.

Stary przycisnął go do piersi.

— Tymku, nie mów ty tak głośno „sierota“ to starego boli!. Synku, ty ne znajesz.. każdy człowiek coś kochać musi na świecie — ktoś Ojca, ktoś Matkę, taj żinkę, rodzinę.. Ja z młodu rósł sam jak ten jawor w polu;. całą młodość przehulał po stepach, po morzu — a nie kochał nic, chyba szczo konia czarnomorca, i szablę ostrą przy boku!. Minęły moje młode lata, burłaka, wołokita obidranyj, przemańdrował je, przyszły stare lata. —

Zatęskniło serce kohoś to szob' i polubyt —

Wrócił ja w swoje sioło, hutor wystawił, żył.. ta tęsknił,. samemu czudno na świecie!. Bóg miłosierny dał mi ciebie. — Ty nie zapomniał? Ja siedział z teorbanem, grał przed chatą, pieśni śpiewał — ty maleńki przyszedł, stanął, słuchał.. ja przestał, ty poszedł precz — a ja nie zważał na to. — Na drugi wieczor ty przyszedł i stanął u progu: czoho ty kozaczek? ja pytam. — Ta za pieśnią didu!. ty śmiało — Wziął ja teorban, grał pieśni śpiewał.. I tak co dnia, a potem ty ciągle przesiedział u mnie na hutorze — i lubo miło staremu, że jest komu śpiewać, jest uczyć kogo. — Dumam sobie, umrzesz ty stary, pieśni twoje nie zginą!

Bywało, wracały się lata moje młode. kiedy patrzałem na młodość twoję..

Tymone, ja na świecie kochał tylko ciebie.. doglądał, chodował razem z matką twoją. A potem ty wyrosł mi taki kozak choroszy, taki dzielny, i rozumny.. i ja lubował się pysznił, wdowinym synem nenacze widną dytyną.. —

Stary zatrzymał się nieco, i westchnął:

— Nastała tiażkaja hodyna!. Ciebie mojego orła, mojego sokoła, w którego duszę wlał ja całe dzieje, całą minionéj sławy naszéj historyę.. na którego ja patrząc Bih znaje!. jaką dumkę nieuczył w głowie...... zobaczył z ogoloną głową, w szynelu sołdackim.. Moskala!.

Ty poszedł a ja stałem się ojcem twojéj rodzinie.. po ojcowsku przywiązał się do niéj!. aż tutaj!. Synu! ja już teraz tobie nie powiem, chyba ty sam zrozumiesz, co mnie działo się w duszy, kiedy musiałem patrzeć na szczęście twoje, jak je powoli rozbierali wrogi..

Patrzeć, a nie módz nic! Już mi życie ciężało.. bywało.. chciałem u Boga prosić śmierci.. dumam! niedługo w ziemi odpocznę!. Wspomnę ciebie, i boli mnie zostawić ciebie samego.. to perechreszczuś i modlę się Bogu, nie o swoje szczęście.. a o twoje!.. Ty jeden zatrzymał mnie na ziemi, a teraz każesz „Sierota“..

Tymon rzucił mu się na szyję.

— Prosti!.

Karp wziął go za rękę:

Chodź synu do sioła, chodź do mojéj chaty. —

Sołdat ciężko westchnął:

— Chodźmy..

(Ciąg dalszy nastąpi.)

# Wyjątek z Pana Tadeusza po czesku i po polsku.

## Na czeskie przekłada E. Krasnohorska.

Vy pamětníci dávných Litvy velekněží,
vy stromy Kušeleva, Ponar, Bělověži
i Svitezi! jichž stín hrál s královskými čely,
Vitenes hrozný, velký Mindova kde dleli
i Gedymín, jenž k ohni na Ponarské hoře
leh' na medvědí kůži, po lovu se noře
rád v divuplnou píseň moudrého Lizdejky,
a proudem Vilie i šuměním Vilejky
kdy zkolébán, zřel vlka železného v snění,
a vzbuzen pak, dle mocných bohův povelení
zbudoval město Vilno, jež se v lesích šeří,
jak vlk by seděl mezi lesův divou zvěří;
a v tomto Vilně, jako Římští ve vlčici,

Rówienniki Litewskich wielkich kniaziów, drzewa
Białowieży, Świtezi, Ponar, Kuszelewa!
Których cień spadał niegdyś na koronne głowy
Groźnego Witenesa, wielkiego Mindowy,
I Giedymina, kiedy na Ponarskiéj górze,
Przy ognisku myśliwskiem, na niedźwiedziej skórze
Leżał, słuchając pieśni mądrego Lizdejki;
A Wilii widokiem i szumem Wilejki
Ukołysany, marzył o wilku żelaznym —
I zbudzony, za bogów rozkazem wyraźnym,
Zbudował miasto Wilno, które w lasach siedzi,
Jak wilk pośrodku żubrów, dzików i niedźwiedzi.
Z tego to miasta Wilna, jak z rzymskiéj wilczycy,


1.


2.


3.


4.


5.


6.


7.


8.


9.


10. Urny znalezione w Lubaszu.


11.


12.


13.

# Urny starosłowiańskie.

vznik měli Kjejstut, Olgjerd i Olgjerdovici,
co lovci a co reci slavní stejně skvěle,
ať stíhali zvěř lesní nebo nepřítele.
Tak mocný byl sen lovcův, věstbu v lůně nesa,
žeť Litvě povždy třeba železa i lesa.

O lesy! poslední vás hlučným lovem bavil
král poslední, jenž kolpak Vitoldův si vstavil,
bylť poslední to šťastný vojín z Jagellonů
a poslední též lovec na Litevském trónu.
Mé domácí vy stromy! vás-li se mi zdaří
zas nebes láskou spatřit, přátelé vy staří?!
Zdaž ještě žijete? zda shledáme se zase?
Vy, k nimž jsem se co děcko plazil v dávném čase!
Zdaž žije velký Baublis? dosud tím-li obrem,
jenž ve svém dutém kmenu, jako v domě dobrém,
i dvanáct hostí za stůl ku večeři vítá?
Háj Mendoga, zdaž dosud za farou tam zkvítá?
A v Ukrajině, podlé Rosi na pobřeží
před Holovińských domem, dosud-li tam svěží
ta lípa rozložitá, pod níž v stinném dole
sto mládenců, sto panen v párech létlo v kole?

O pomníky! Co ročně sekerou jich zmíra,
ať kupecká, ať vládní moskevská je sžírá!
Ta každý útulek i lesním pěvcům skácí
i věstcům, kteří v stín jich touží jako ptáci.
Vždyť lípa Černoleská, již hlas Janův slaví,
mu nadchla tolik veršů! dub ten štěbetavý
pěl kozáckému věstci tolik divů svojich!

Dík vám, vy stromy šumné rodných lesů mojich!
Zvěř chybiv — špatný střelec — posměchu svých druhů
když ušed jsem se octnul v tichém vašem kruhů,
co myšlenek jsem zlovil, v samotě když divé
jsem zapomenuv na lov, v sny se nořil živé —
když kolem mne se třpytil mech tu stříbrošedý,
v něm puklé ostružiny granát rudohnědý,
tam vřesů pahorky se rděly purpurové,
v nich růženečky brusin jasně korálové.
Kol byla temnosť; větve shýbaly se s hůry,
jak nízko shluklé, mocné, zelenavé chmury,
a vítr nad klenutím hlučel nepohnutým
tu praskotem a šumem, tu zas hromem dutým,
tu kvílením, tu bouří: tak mi při tom bylo,
jak by se nad mou hlavou šumné moře lilo.

A dole — trosky města: mocný vyvrat dubu
zde z půdy třcí roven ohromnému srubu
v nějž opřely se stěn i sloupů sříceniny
a trámy tlící. Husté mříže ze traviny
to hradí kol. Však hloub — tam hrůza; srdce klesá
v to temno zřít: tam sídlí hospodaři lesa,
medvědi, kanci, vlci; u vrat leží kosti
půl ohryzené jakýchs nepozorných hostí,
a někdy vzhůru skočí před doubím a hlohy
jak by dvé vodotrysků, jelení dva rohy,
bok žlutý mezi kmeny štíhle zakmitne se
jak pramen, který vzkypěv mizí houštím v lese.

Wyszedł Kiejstut i Olgierd i Olgierdowicy,
Równie myśliwi wielcy jak sławni rycerze,
Czyli wroga ścigali czyli dzikie zwierzę.
Sen myśliwski nam odkrył tajnie przyszłych czasów:
Że Litwie trzeba zawsze żelaza i lasów.

Knieje! do was ostatni przyjeżdżał na łowy
Ostatni król, co nosił kołpak Witoldowy,
Ostatni z Jagiellonów wojownik szczęśliwy,
I ostatni na Litwie monarcha myśliwy! —
Drzewa moje ojczyste! jeźli niebo zdarzy,
Bym wrócił was oglądać, przyjaciele starzy:
Czyli was znajdę jeszcze? czy dotąd żyjecie?
Wy, koło których niegdyś pełzałem jak dziecię:
Czy żyje wielki Baublis, w którego ogromie,
Wiekami wydrążonym, jakby w dobrym domie,
Dwunastu ludzi mogło wieczerzać za stołem?
Czy kwitnie gaj Mendoga pod farnym kościołem?
I tam na Ukrainie, czy się dotąd wznosi
Przed Hołowińskich domem, nad brzegami Rosi,
Lipa tak rozrośniona, że pod jéj cieniami
Sto młodzieńców, sto panien szło w taniec parami?

Pomniki nasze! ileż co rok was pożera
Kupiecka lub rządowa moskiewska siekiera!
Nie zostawia przytułku ni leśnym śpiewakom,
Ni wieszczom, którym cień wasz tak miły jak ptakom —
Wszak lipa czarnolaska, na głos Jana czuła,
Tyle rymów natchnęła, wszak ów dąb gaduła,
Kozackiemu wieszczowi tyle cudów śpiewa!

I ileż ja wam winien, o domowe drzewa!
Błahy strzelec, uchodząc szyderstw towarzyszy
Za chybioną zwierzynę, ileż w waszej ciszy
Upolowałem dumań, gdy w dzikim ostępie,
Zapomniawszy o łowach, usiadłem na kępie,
A w koło mnie srebrzył się tu mech siwobrody,
Zlany granatem czarnéj, zgniecionej jagody —
A tam się czerwieniły wrzosiste pagórki,
Strojne w brusznice, jakby w koralów paciórki.
W około była ciemność; gałęzie u góry
Wisiały, jak zielone, gęste, nizkie chmury;
Wicher kędyś nad sklepem szalał nieruchomym,
Jękiem, szumami, wyciem, łoskotami, gromem:
Dziwny, odurzający hałas! Mnie się zdało,
Że tam nad głową morze wiszące szalało.

Na dole, jak ruiny miast: tu wywrót dębu
Wystercza z ziemi, nakształt ogromnego zrębu;
Na nim oparte, jak ścian i kolumn obłamy,
Tam gałęziste kłody, tu wpół zgniłe tramy,
Ogrodzone parkanem traw. W środek tarasu
Zajrzeć straszno: tam siedzą gospodarze lasu,
Dziki, niedźwiedzie, wilki; u wrót leżą kości
Napół zgryzione jakichś nieostrożnych gości.
Czasem wymkną się w górę, przez trawy zielenie,
Jakby dwa wodotryski, dwa rogi jelenie,
I mignie między drzewa zwierz żółtawym pasem,
Jak promień, kiedy wpadłszy, gaśnie między lasem.

*Uwaga.* Tak rozprawa o rosyjskim przekładzie „Pana Tadeusza,“ jak i wyjątki z tłumaczenia czeskiego E. Krasnohorskiéj mają na celu zwrócenie większéj niż dotąd uwagi na to arcydzieło. Jeżeli inne narody cenią wysoko „Pana Tadeusza,“ o ile więcéj my Polacy starać się powinniśmy o jego poznanie. Kiedyż przyjdzie ta chwila, że i w chatach czytać będą ten pierwszy polski poemat.

# Pamiętnik Księżnéj G.

**z roku 1830 i 31.**

Z archiwum Muzeum narodowego w Rapperswyl
uporządkował i wydaje H. W.
(Ciąg dalszy).

*7 Maja 1831.*

Przyszła rano do mnie pani Sobańska, kiedym się czesała, pytając wesoło, czy są jakie wiadomości, czy nie ma żadnych? Pod sekretem, żeby mojéj matki nie zmartwić, powiedziała mi, iż przyszła wiadomość pewna z Wiednia, że Dwernicki na Wołyniu ściśniony z swoim korpusem ze wszystkich stron przez Rüdigera, zmuszony się widział szukać schronienia w Galicyi, gdzie go rozbrojono i broń Moskalom, jako własność zwrócono, czekając co rząd daléj z osobami postanowi. Wiadomość ta wielce mnie zasmuciła, pomimo, że jeszcze zupełnéj do niéj nie przykładałam wiary. Sobańska odeszła, a ja starałam się oswoić mamę z tym niespodziewanym smutkiem.

Nazajutrz przyszły gazety niemieckie i wieść tę niepewną potwierdziły; przyszły i polskie, gdzie tak szlachetne narodu wyrażenia, tak rzewne w patryotyzmie, że czytając je mimowolnie łzy mi się z oczu toczyły.

Przyszła Sobańska, zastała powieki zwilżone, pytała o przyczynę. — „Przyczyna? odpowiedziałam — Dwernicki, Polska! zbieg wszystkich uczuć nadzieji i niepewności!“ — „A ja kontenta jestem, że się Dwernickiemu nie udało.“ — „Nie wierzę temu, z żalem odpowiedzałam, bo żart nawet taki, znalazłabym równie nieprzyzwoity, jak byłaby upadlającą prawda.“

I szczerze myślałam, że to przez nieuwagę jéj się wymknęło; lubo jabym sama temu popaść nie mogła. Jednak to wyznanie ciężyło mi na sercu i wieczór z Sobolewskimi ubolewając nad klęską dla Polski, żaliłam się, że taki stan rzeczy może być obojętnie przez Polkę widziany, do tego stopnia, że P. Sobańska dziś rano wyrzekła, „że kontenta, że się Dwernickiemu nie udało.“

Kochanek tłómaczył, uniewinniał kochankę, dowodząc że to chęć odznaczenia się oryginalnością, nieuwagą i prędkością w rozmowie pociągniona, że ona tak nie czuje, nie myśli, żebym temu nie wierzyła.

Może być, mówiłam, lecz jakkolwiek to jest, kiedy słyszę tak przeciwną godności waryacyą, mam zaraz chętkę do innéj warjacyi, i chcąc dać przewagę niemym uczuciom, pragnę wejść sama do wojska, bić się z Moskalami, jak gdybym potrzebowała przekonać sama siebie, że tak nie myślę, jak gdybym czuła potrzebę przekonania innych, że Polki godne swego rodu z téj ziemi na któréj wzrosły.“

— „Warjacya za warjacją, odpowiedział Józef Sob. — tu przynajmniéj wspanialsza.“ —

„Jak być może, mówiłam, żeby ktokolwiek z nas tak mało znał godności, położenia, tak był nieczułym na zaszczyty chlubnéj chwały, własnéj dumy nawet, żeby nie dzielił, żeby zapierał uczucie wywołujące uszanowanie i cześć całego dla nas świata? Wszakże mówicie, że samo imię Polaków skupiało tłumy ludu za waszym przybyciem, że od lokaja nawet waszego, bo Polak, nigdzie po oberżach za jego jedzenie zapłaty nie przyjęto. Usiłuj Panie Józefie, żeby nie powtarzała, przed obcymi, wyrazu radości, któréj doznaje, niech ten nie dojdzie nieprzyjaciół naszych, niech nas nie wstydzi, nie hańbi! Nie każdy wiedzieć będzie, że ta radość z niepowodzenia rodaków, jest skutkiem nizkiéj rachuby, osobistego interesu, drżącego o niepewność intraty i weźmie go za różność mnogich niezgodnych i wstydliwych zdań między nami. Te jedynie są zaszczytne, co nas odznaczają obecnie, te wyłącznie do nas należą. Starajmy się więc całemi siłami, zakryć rumieniące nas plamy, żeby się ich nikt nie domyślił. Niechaj te zranienia serc naszych w ich tajnikach zostaną, nie niosąc uszczerbku najpiękniejszéj sławie.“

*24 Lipca 1831.*

Dzień moich imienin, jakże ten przejdzie tego roku? — Czy też jaka dobra wiadomość pocieszy nas, bo z téj, co Staats-zeitung zawiera, prawdy dojść nie podobna. Czy Gielgud zdradził, czy też przez ograniczone pojęcia podle i tchórzliwie postąpił, dobrze, że zginął śmiercią nikczemną; dobrze że słyszał słowa: szelmo, zdrajco, giń! Będzie to przestrogą dla innych, niech się na ostróżności trzymają. Wszakże przysięgli: *zwyciężyć — lub umrzeć.* Ani zwycięztwa, ani śmierci nie probując, rzucać się w nieprzyjaciół ręce, kraju jest zawsze zdradą, zasługującą na śmierć haniebną, sromotną! O innych jako to o Chłapowskim, Szymanowskim, Rolandzie jeszcze trzeba potwierdzenia. Zapewne wiele odrzucić trzeba będzie z umieszczonych twierdzeń berlińskich, dla zepsucia ducha i zaufania w siły nasze.

Rano przysłała do mnie Pani L . . . wiadomość, że Węgry w naszéj sprawie powstali, że to otrzymała z pewnego źródła. — 11tego miesiąca była ta wieść, że w Węgrzech tylko rewolucya, którą dni następnych uważano za skrycie pobudzoną przez Rząd Austr.

Napisałam to była do Józefa Sobolewskiego do Töplitz. Dziś tę wiadomość udzieliłam księstwu Pawłom Sapiehom. Na to mnie odpowiedzieli, że już przed kilkoma dniami w Töplitz od policyi miejscowéj o tem uwiadomieni byli i że mieli Węgrzy w 18,000 wkroczyć na Wołyń.

Panna Czacha z Galicyi potwierdzenie usiłowań Węgrów także dostała. Tymczasem Pani Błeszyńska odebrała list od Komarowéj z Paryża, który jéj donosi, że kniaź, ma być w tych dniach przyjęty od króla Francji, kiedy mu dotąd widzieć się z nim wzbronionem było, i że za dni kilka spodziewać się można ważnych bardzo wypadków. Kuryer Ang. który jest *demi-officjalną* gazetą, donosi, iż wie autentycznie o wezwaniu Anglii przez Francyą do położenia przez jaki-bądź środek tamy *„au carnage en Pologne.“* Ten sam artykuł potwierdzony dnia następnego, dowodzi konieczności interwencyi tylko mówiono, i tę utrzymano święcie. Pierwszy raz głośno wywołają co innego. —

Ciąg dalszy nastąpi.

## Popielnice starosłowiańskie.

Starodawna nasza przeszłość, kiedy wszystkie plemiona słowiańskie spólną nazwę Słowian nosiły, jest dotąd dla braku źródeł mało rozjasniona. Kronik i wogóle piśmiennych dokumentów niewiele z tych czasów ocalało. Tym cenniejsze są zatem za-

bytki z starosłowiańskich czasów, jak np. broń, sprzęty, monety, posągi itd. Do tych należą także licznie w słowiańskich krajach znajdujące się popielnice czyli urny, kryjące kości i popioły naszych przodków. Było ich dawniéj tak wiele, iż Długosz pisze, że w okolicach miasta Łekna mianowicie przy wsi Kozielsku i przy wsi Nochowie w powiecie śremskim naczynia takie rosły w ziemi. Popielnice te prawda zbyt wiele światła na zamgloną naszą przeszłość rzucić nie mogą, jednakże w ciemnéj nocy i skromne gwiazdki są miłe, tak i te starożytne pamiątki nie są w badaniach dziejowych bez znaczenia.

Liczne zbiory popielnic posiada Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Poznaniu, Towarzystwo Naukowe w Toruniu, oraz Gabinet Archeologiczny w Krakowie, założony przez niezmordowanego badacza przeszłości Józefa Łepkowskiego.*) Ale i w innych zbiorach np. w Berlinie, Wrocławiu, Gdańsku, oraz u osób prywatnych znajduje się wielka liczba popielnic słowiańskich.

Korzystając z uprzejmości p. R. Wegnera, obecnie prezesa rejencyi poznańskiéj, podajemy w Lechu 12 rycin popielnic, wykopanych przy mieście Świeciu, a znajdujących się dziś w zbiorze zakładu obłąkanych w tém mieście.

Zdaniem p. Wegnera są trzy urny, oznaczone nr. 11, 12 i 13, pochodzenia germańskiego. Są one niekształtne, bez ozdób, gdyż starzy Germanie sztuką się nie zajmowali. Nietylko wykonanie, ale i materyał jest surowy, gruboziarnisty. Tylko ta mała (nr. 13), zawierająca kości dziecięce, świadczy o dobrych chęciach, aby dodać jaką ozdobę.

Daleko piękniejsze są inne naczynia, przypominające klasyczne linie greckich wyrobów. Prawdopodobnie Słowianie mieli związki z Grekami, gdyż wogóle pierwszą wzmiankę o Słowianach, choć bez wymienienia nazwy, podaje starożytny, wielki dziejopis grecki Herodot. Nietylko wyrób, ale i materyał, do wykonania tych urn użyty, jest daleko lepszy, aniżeli w tych pierwszych. Jednakże naszém zdaniem nie jest to dowód wystarczający, aby te gorsze popielnice przypisywać Germanom. Mogli i Słowianie wykonywać piękne urny i mniéj piękne.

Dla lepszego porównania podajemy tu ryciny popielnic, znalezione na górze Krasnéj przy Lubaszu w powiecie czarnkowskim. Jeden rzut oka wystarczy, aby rozpoznać, że to są nader piękne wyroby. Pewnie i dziś byłoby trudno niejednemu garncarzowi coś podobnego wykonać.

W Wielkopolsce znajdują się liczne smętarzyska, zwane od ludu żalami. W ostatnich czasach spekulacya i poszukiwania naukowe przetrzebiły znacznie te starodawne pamiątki. Życzyćby wypadało, aby bez potrzeby i dla rzekomych nieraz badań naukowych nie niszczyć tych żalów. Tak wyraz żal, jak i rzecz sama sięga starosłowiańskich czasów, dla tego dobrzeby było, aby choć tu i owdzie dochowały się te smętarzyska w pierwotnéj postaci, tak jak były przed lat tysiącem.

---

*) Gabinet ten zawiera cenne przedmioty. Życzyćby wypadało, aby ten gabinet uważać niejako za centralne muzeum starożytności polskich, a zatem należałoby go zasilać stósownemi okazami. Samo przez się rozumie, że dziać się to tylko może bez uszczerbku dla zbiorów prowincyalnych.

# W sprawie słowiańskiéj,

pisze „Czas“ w 242 nr. z br. co następuje:

„Miałem niedawno sposobność rozmawiania z jednym dygnitarzem madjarskim, który dotychczas spoglądał z równą dumą na świat, jak na „globus madjarski.“ Dziś stał on się pessymistą i dużo stracił z swéj dumy. Położenie polityczne przedstawia mu się bowiem w czarnych barwach. Austrya, wedle jego widzenia rzeczy, słowiańszczeje w skutek zajęcia Bośni i Hercegowiny. Koalicya narodów katolicko-słowiańskich w Austryi — „liga słowiańska,“ jak się wyraził, zagraża w wysokim stopniu stanowisku Madiarii, Polacy, Kroaci i Czesi posiadając bowiem, jako katolicy i Słowianie, wspólne religijne i narodowe interesa utworzą wzajemnie potężne stronnictwo, które na zewnątrz walcząc przeciwko rosyjskiemu panslawizmowi, wewnątrz monarchii Habsburgów zwróci się z równą stanowczością przeciw przewadze madjarsko-niemieckiéj i może stać się zarówno groźnem dla Rosyi, jak i dla dualistycznego ustroju państwa. Madjar jak zmory bał się téj „ligi.“ Rzeczywiście zbliżenie się narodów katolicko słowiańskich do siebie mogłoby złamać w Austryi przewagę madjarsko-niemiecką i stawić nieprzezwyciężoną zaporę dla panslawizmu i prawosławia. Niestety, do tego jeszcze daleko. Jednak myśl ta zasługiwałaby z pewnością na to, żeby z poważnéj podjęto ją strony i żeby stała się przedmiotem wyczerpującéj dyskusyi publicznéj. Wprawdzie pochodzi ona od stanowczego przeciwnika zbliżenia się wzajemnego Polaków, Czechów i Kroatów w imię wspólności interesów religijnych i narodowych, od Madjara, z którym miałem sposobność rozmawiania, lecz okoliczność ta nie ma nic do rzeczy, owszem za nią przemawia, ponieważ nasi wrogowie lepiéj wiedzą, czego właściwie obawiaćby się mogli z naszéj strony, aniżeli my, do czego dążyć należy.“

# ŁAMIGŁÓWKI.

1.

Najpierwsza nigdy spodu nie oznacza;
A druga zgłoska przez Italją płynie;
Druga i trzecia, nadzieja oracza,
Albo tło znaku w szlacheckiéj rodzinie;
Ostatnia — nie ja, nie ty, ani ona;
Całość podobna do . . . . . . . . . —

2.

Pierwsze dwie zgłoski — to barwa godziny
Westchnień i chodzeń po niebiańskim szlaku;
Druga i trzecia przez starszych rodziny,
Dawana młodszym, zwykle nie do smaku;
Lub jest z uszczerbkiem, dla braku nadzoru,
Cudzych pieniędzy a swego honoru;
Aby zaś *całość* cenniej tem łatwiéj poznano,
Powiem że nosi w sobie własne miano.

„*Lech*“ kosztuje na pocztach 2 marki ćwierćrocznie. Roczna przedpłata wynosi 8 marek (w Austryi 5 złr.), za co się numera od 1 Stycznia br. wraz z 2 premiami przesyłają franko.

Redaktor i nakładca Józef Chociszewski w Poznaniu — Czcionkami H. Schmaedickiego w Poznaniu.